

## Zamiast wstępu

Miał szczęście autor dwukrotnie być w Teksasie (w roku 1991 i 2001) z szansą na odwiedziny polskich osad. Rozmowy z najstarszymi mieszkańcami w ich domach, potem zwiedzenie muzeów historycznych w Old Helena i Pannie Marii, nasunęły autorowi pomysł na zrealizowanie paru filmów dokumentalnych o współczesnym losie Ślązaków na amerykańskiej ziemi.

Również podczas pobytu grupy Amerykanów o śląskim rodowodzie na polskiej ziemi, celem odnalezienia śladów własnych korzeni, autor towarzyszył z kamerą podczas tych poszukiwań i prowadził z nimi długie rozmowy. W rezultacie tych wyjazdów, spotkań i rozmów powstała spora, wartościowa dokumentacja historyczno-reportażowa na temat, jaki nosi tytuł powieści. Kiedy podczas spotkania z reżyserem Kazimierzem Kutzem, w łódzkim Muzeum Kinematografii, autor dowiedział się o przyczynach jego rezygnacji z realizacji czwartego filmu „śląskiego”, właśnie o losach Ślązaków na Dzikim Zachodzie, zrodził się wówczas nieodparty zamiysł, ażeby opisać w formie powieściowej owe barwne, a mało znane, losy Ślązaków w Teksasie. Może nawet kiedyś pokusi się jakiś inny twórca na ekranizację zapisanych w powieści historycznej losów śląskich emigrantów?

Nie daje się pominąć przeogromnego wpływu księdza prałata Franciszka Kurzaja na zainteresowanie się autora tematem, któremu poświęcona jest powieść. Father Frank, jak go nazywają w Teksasie, pasterzuje od ponad dwudziestu lat w polskich parafiach na terenie Teksasu i jego dziełem jest tak „srogie” pobudzenie świadomości narodowej parafian, gdy był proboszczem w Pannie Marii i potem San Antonio. Posługując się śląską gwarą, bo taką znają jedynie owi Polonusi, ksiądz Franciszek przypomniał im, jakie są ich korzenie, pobudził dumę z polskiego pochodzenia (bo przecież Polak był m.in. wówczas papieżem) i zaczął systematycznie wozić ich do Polski, na Śląsk. Nawet w artykułach amerykańskich gazet

ksiądz Kurzaj nazywany był Mojżeszem (Moses), bo jak tamten biblijny prorok, prowadził ponad oceanem swoich Ślązaków do ziemi praojców. Pewnie ta misja księdza prałata zdecydowała o tym, że w roku 2007 został on wyróżniony zaszczytnym tytułem „Ślązaka Roku”.

Należy jeszcze dodać kilka słów objaśnień przyszłemu czytelnikowi, żeby łatwiej mógł rozróżnić, co jest w powieści faktem historycznym, a co fikcją literacką. Dla autora, podobnie jak dla reżyserów filmowych, prawdopodobieństwo było ważniejsze od prawdy. Pomijając, że przeważnie staje się ono bardziej urokliwe niż suchy fakt, to często jest także bliższe prawdzie aniżeli jakiś przypadkowy zapis w gazecie, aktach sądowych, prywatnej korespondencji. . .

Dla konstrukcji powieściowej wybór głównego bohatera był sprawą kluczową. Autor uczynił nim Jana Moczygembę, najmłodszego ze sławnej rodziny, która spowodowała masowy *exodus* Ślązaków do Teksasu. Prawdą jest, że Jan oczywiście był uczestnikiem bądź świadkiem zdarzeń opisanych w powieści, to przy jego długim żywocie ziemskim, można było jednocześnie w długim czasokresie ukazać los polskich emigrantów na tym Dzikim Zachodzie. W tych pionierskich czasach polskiego osadnictwa rola aktywnej jednostki była nie do przecenienia. Ktoś spośród gromady prostych chłopów śląskich musiał podjąć się odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo, pokierować organizacją ładu i porządku w tworzącej się osadzie, doradzać w czasie podróży za ocean, jak i na miejscu pośród dzikiej prairii i obcych im ludzi. Jan Moczygamba służąc w pruskiej armii znał niemiecki, widział, jak ludzie żyją w dużych miastach, jak podróżuje się pociągami, jak należy rozmawiać z urzędnikiem czy żandarmem. . . Ta wiedza pozwoliła mu, wraz z pomocą przyrodnych braci, stać się mimowolnym przywódcą osadniczej społeczności.

Warto także skierować uwagę czytelnika na wyjątkową rolę polskich kapłanów, którzy z wyboru lub nakazu, podejmowali się roli przewodników duchowych na obczyźnie. Nie chodzi tu tyle o troskę czysto duchową powierzonej owczarni, co o utrwalanie pamięci, że ich parafianie wyrosli w polskiej kulturze i obyczaju, że nie godzi

się zapominać o przeszłości i aktualnym losie opuszczonej ojczyzny. Duchowni wiernie stali na straży polskiego języka i wiary ojców, które w rezultacie ochroniły spoistość narodową i obyczajową ich parafian ze śląskim rodowodem w przeciągu tych stu pięćdziesięciu lat, to znaczy od kiedy pierwszy Ślązak postawił stopę na amerykańskim kontynencie, po czasy współczesne.

Jeszcze może parę uwagach o języku bohaterów powieści. Między sobą osadnicy posługują się przeważnie gwarą śląską, zwłaszcza w początkowych rozdziałach książki. Później w powieści ten śląski dialekt słabnie, no bo ksiądz i nauczyciel posługują się tylko językiem literackim, do polskich osad przenika coraz silniej angielski i hiszpański.

Kończąc te autorskie uwagi i usprawiedliwienia, trzeba uznać, że prawie w całości opisane zdarzenia i ludzie miały miejsce w historii osadnictwa amerykańskiego, zaistniały naprawdę i tylko większe uwypuklenie losów głównych bohaterów należy zapisać już na korzyść wybujałej fantazji autora. Tym przecież różni się historia od powieści historycznej, że ta druga, poza wartościami poznawczymi, musi silniej oddziaływać emocjonalnie na czytelnika.

## POWRÓT Z WOJSKA

Obszerny wóz zaprzężony w cztery konie zatrzymał się przed siedzibą landrata w Strzelcach. Woźnica w wojskowym mundurze zwrócił się głośno do mężczyzn siedzących w głębi wozu nakrytego plandeką na rozstawionych pałakach:

– Wysiadać, wy już w domu. Resztę drogi pójdziecie pieszo.

Kolejno spod nakrycia ukazywali się młodzi mężczyźni w cywilnych ubraniach i sprawnie zeskakiwali z wozu. Było ich sześciu, w tym samym wieku, z węzełkami w dłoniach. Ubrani jak typowi chłopci śląscy, chwilę rozglądali się po budynkach wzdłuż rynku, pragnąc upewnić się, czy to aby na pewno ich docelowe miejsce.

– Toś nas szybko dowiózł do tych naszych Strzelce, Herr Unteroffizier Keller – z uznaniem pochwalił woźnicę Janek Moczygamba, najwyższy z mężczyzn w chłopskim ubraniu.

– Takie twoje, Janie, te Strzelce jak i moje. My wszyscy ino stąd – uzupełnił woźnica, Stanik Keller z Kielczy, który dosłużył się stopnia kaprała w pruskiej armii. – Wy zara dostaniecie się do waszych ojców, ja zaś w te koszary, hen pod Leipzig.

– Sameś wybrał taki fach, to nadal służ Prusakowi – odciął się Walenty Czerner, syn karczmarza z Toszka.

– Ty, szeregowy Walik, teraz pyskujesz, a w mundurze byłeś cichutki jak myszka – odpowiedział mu woźnica, kapral Keller pochodzący z terenu powiatu strzeleckiego. – Powrócisz do tej waszej gospody i będziesz ino chłopom okowitę pod nos podtykał. A przez wojsko kawał świata poznałeś i drugich kamratów.

– Nie pora nam się sprzeczać, ale ten pruski dryl nie dla mnie – przyznał Jan. – Niech ci się darzy, Keller, w ty armii, bo my musimy już zbierać się do naszych wsi. Nie zapominaj o nas i o tej swojej wsi.

– Befehl! – służbowo zameldował woźnica. – No to z Bogiem, kamraci!

Nie czekając na dalsze zaczepki kolegów z wojska, woźnica

zaciął batem konie i energicznie ruszył spod budynku landrata. W galopie skierował wóz ku wąskiej uliczce, roztrzając przechodniów na skraj chodnika.

– Wyszło na to, że my są doma – westchnął Marcin Ploch z Ligoty. – A to jeszcze parę kilometrów przed nami.

– Trza nam się rozejrzeć za jakąś furmanką od naszych stron – poinformował Walenty.

– Może tyn żandarm co nam podpowie – zaproponował Moczygamba. – On ludzi pilnuje i o wszystkim wie. Nich by i pomógł wojakom.

Pruski żandarm pilnował porządku przed siedzibą landrata. Przechodził co rusz koło budynku, ale pasażerów wojskowej podwoły bał się zaczepić. Poznani przez nas ex-wojacy podeszli więc ku żandarmowi i śmiało zapytali o jakiś transport.

– Wracamy z wojska, czy nie wiecie o jakichś furmankach w stronę Toszka? – pierwszy zagadnął Walenty.

– Może i do Ligoty by się coś znalazło? – dorzucił szybko Marcin.

Zaczepiony żandarm chwilę ich mierzył wzrokiem i szukał w myśli sposobu, jak ma się odnieść do ich śmiałych pytań. Widać stwierdził, że przecież jeszcze niedawno byli oni ludźmi w mundurach, co się liczyło u władz pruskich, więc spokojnym głosem zaczął informować ich.

– Kuriery i pocztyliony pojechali rano, a tera możecie ino iść na plac targowy za miastem i tam pewnie waszych znajomych jeszcze znajdziecie. To stąd kawałek tą uliczką – i wskazał im kierunek uliczki wychodzącej z rynku. – A gdyby co, powołajcie się na mnie. . .

– To się wie. A targowisko wiemy, gdzie się znajduje. Dziękujemy za radę – rzucił na odchodne Walenty i pierwszy ruszył we wskazanym kierunku.

Targ na przedmieściu Strzelec trwał jeszcze w najlepsze. Zima miała się ku końcowi i zjechało się sporo okolicznych chłopów ze sprzedażą wieprzków i cieląt, bo niektórym gospodarzom brakowało już zboża i kartofli na wykarmienie inwentarza. Przy okazji

gospodynie pragnęły pozbyć się trochę drobiu, jaj i masła, a zakupić żeliwne i gliniane garnki, no i może jaką tkaninę na damski ubiór. Chłopi, którzy pozbyli się już przywiezionych świń i cieląt, krążyli między straganami rymarzy, kołodziejów, kowali, powroźników, ażeby dokupić brakujące zęby do bron, lemiesz do pługów, bat czy uzdę dla konia. Zawsze potrzebne też były w zagrodzie łańcuchy i powrozy. Przy tych targach chłopów z rzemieślnikami i Żydami, gwar i pokrzykiwania mieszały się z porykiwaniem i rżeniem zwierząt, a i czasem dawał się słyszeć rozdzierający wrzask „złapać złodzieja!”, bo Cyganie kręcili się bezczelnie między chłopskimi wozami i czekali na okazję, aby okraść roztargnionego chłopca czy gadatliwą babę.

W ten rozgardiasz handlujących wmieszali się nasi powracający z wojska mężczyźni i zaczęli poszukiwać między wozami znajomych chłopów z ich wsi bądź sąsiedniej. Pierwszemu udało się napotkać znajomego Moczygembie. Jan chwilę obserwował chłopca przebierającego w rozwieszonych postronkach, aż przekonał się, że to naprawdę jest Johan Dziuk z Płużnicy. Podszedł i zagadnął go, stając za nim.

– Cóż to, Johan, ludzi wieszacie będziecie?

– A pewnie, bo niektórych to i bez żalu – odpowiedział Dziuk, odwracając się do zadającego pytanie. – To pewnie wy najmłodszy z Moczygembów? Co, już nie w wojsku, tylko na targu?

– Ponad dwa roky dla Prusaka, to chyba starczy – tłumaczył swój pobyt na targu Jan. – Przywieźli nas wojskową podwodą do Strzelec, mnie i pięciu moich kamratów z tego samego pułku dragonów. Teraz każdy z nas szuka sposobu, jakby tu dostać się do swojej wsi.

– No to wy jesteście już po kłopocie – stwierdził, uśmiechając się Dziuk. – Zabiorę was na moją furkę, a wy przy okazji postawicie mi kwaterek gorzałki w karczmie waszego ojca i będzie kwita. Może tak być? A jak tam wasze imiono?

– Wołają na mnie Jan, a co do naszej umowy, to wypijemy gorzałkę ojcową przy pierwszym spotkaniu. A czy byście, w razie czego, nie zabrali jeszcze jednego syna karczmarza? Jest tu mój

kamrat, Walik Czernerów z Toszka. Miałby potem z Płużnicy ledwie parę kilometrów.

– No, ale tym razem będzie to kosztować już flaszkę tej gorzałki – zakupił Dziuk. – Zaraz będziemy się zbierać na powrót, ino postronki dla bydła zakupię.

Odwrócił się Dziuk do powroźnika, żeby wreszcie wybrać parę postronków i stargować najniższą cenę. Tymczasem Jan z Walentym zaczęli żegnać się z pozostałymi kamratami, dla których jazda do Płużnicy byłaby całkiem nie po drodze. Zaczęli się umawiać na spotkanie tu w Strzelcach albo Toszku około świąt wielkanocnych, gdy nagle rozległ się w pobliżu przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety:

– Ludzie, ratujcie, okradli!!! Olaboga, łapcie ich!

Mężczyźni powracający z wojska zareagowali błyskawicznie i solidarnie. Usłyszeli szybki tupot uciekających między wozami, a potem dostrzegli, że to biegnie dwóch mężczyzn w kapeluszach. I pewnie złodzieje uciekliby bezkarnie, bo chłopci widząc długie noże w ich rękach, woleli odsunąć się na bok, niż zagrozić drogę uzbrojonym bandytom. Tylko nasi niedawni wojacy rzucili się na pomoc kobiecie. Czterech z nich wybiegło naprzeciw złodziejom uzbrojonym w noże, jak zwykle robili to Cyganie zdecydowani na wszystko.

Walenty pochwycił odruchowo jakiś drąg z chłopskiego wozu, Jan z Marcinem ściągnęli błyskawicznie powrozy ze straganu i ruszyli zgodnie na tych dwóch bandytów. Cyganie stanęli zdziwieni przed tą niespodziewaną przeszkodą i postanowili zmienić kierunek ucieczki. Już zamierzali biec w przeciwnym kierunku, gdy zza wozów ukazali się pozostali wojacy oraz żandarm z szablą i pistoletem w rękach. W tej sytuacji złodzieje zatrzymali się, nie wiedząc, co dalej robić. Niespodziewanie z tyłu otrzymali silny cios zadany drągiem. Była to robota Walentego. Cyganie zachwiali się po ciosie, a na ich plecy natychmiast zwałił się Jan z Marcinem. Przycisnęli ich do ziemi, wykręcili ręce do tyłu i zaczęli kępować powrozami.

Po chwili złodzieje stali potulnie przed żandarmem powiązani postronkami jak pokorne baranki i otoczeni przez naszych bohaterów. Nadeszła też zapłakana kobiecina, żądająca

zwrotu skradzionej gotówki. Żandarm schował szablę i rewolwer do pochwy, a zaczął rewidować skrzepowanych złodziejasków. Na ziemię poleciały noże, zwitki banknotów i dwa węzłki, prawdopodobnie też z gotówką. Kobieta natychmiast rozpoznała swój węzełek w niebieską kratkę.

– To moje pieniądze, o święty Antoni, dziękuję ci za nie! – zawołała, schylając się po węzełek leżący na ziemi obok nóg żandarma.

– Wy, kobito, nie Antoniemu dziękujcie, ino tym śwarnym chłopom, co Cyganów zdybali – upomniał się nieco oszołomiony wydarzeniem Johan Dziuk.

Brawurowa akcja byłych żołnierzy długo jeszcze była komentowana przez chłopów i handlarzy na targu. Cyganie powędrowali do aresztu, żandarm zebrał resztę pieniędzy i drugi węzełek odebrany złodziejom, ogłaszając, aby poszkodowani zgłosili się na posterunek.

– A kto zwróci mi moje postronki – upomniał się powroźnik zza straganu.

– Znajdziecie je na posterunku, ino doprowadzę tych ptaszków do aresztu – oznajmił żandarm, popychając przed sobą powiązanych Cyganów.

Ex-żołnierze uradowani akcją wypili po kubku chłopskiej okowity ofiarowanej im przez wdzięcznych gospodarzy ze wsi, z której pochodziła okradziona niewiasta. Potem serdecznie pożegnali się i udali w dwóch grupach w przeciwnych kierunkach. Jeszcze przed odejściem któryś z tutejszych rzemieślników ostrzegł ich, aby przez jakiś czas pilnowali się przed ewentualną zemstą pozostałych Cyganów, którzy pewnie ukryli się gdzieś w pobliżu, widząc, w jakich opałach znaleźli się ich kamraci.

Wóz Dziuka wolno wytoczył się poza rogatki Strzelec na drogę prowadzącą w kierunku Toszka. Mieli do pokonania dobre dziesięć kilometrów, żeby dotrzeć do Płużnicy. Młody Edmund Dziuk wyraźnie przyspieszył jazdę po wyboistym trakcie, pragnąc uniknąć deszczu, który od czasu do czasu obficie żegnał kończącą się zimę. Koźmi wprawnie kierował siedemnastoletni Edmund, mając obok



na siedzeniu Walentego, który nadal wypatrywał, czy aby nie trafi mu się po drodze jakaś furmanka do samego Toszka. Za nimi siedział Jan, Johan oraz urodziwa Maryna Dziukówna. Jan zaraz zaczął wypytywać Dziuka o sytuację w Płużnicy, ale kątem oka uparcie wpatrywał się w milczącą Marynę.

– ...co tam dużo mówić, bieda nastąpiła sroga w chłopskich chatach, a ratunku znikąd – opisywał wylewnie Dziuk sytuację śląskich gospodarstw. – Przez ostatnie lata jak nie deszcze, to susza, że też Pan Bóg nie ma zmiłowania nad nami. A tu jeszcze Prusak gnębi podatkami, w urzędach każe gadać ino po germańsku, najlepszych synów zabiera w rekruta, o czym wy najlepiej mogliście się przekonać. I co tu dalej opowiadać...

– A co tam teraz w mojej familii, co u ojców? – dopytywał się Jan.

– Co miałyby być. Gospodarze, z ty udreki, zachodzą do karczmy waszego ojca i Frantza, piją i narzekają. Bo to u każdego kupa dzieciaków, zimi mało, rok po roku nieurodzaj. Najgorszy mają ci bezrolni, bo roboty tu nie uświadczysz i gdzie nam szukać ratunku?

– Nasz farosz radzili, co jedyn ma być bratem dla drugiego w tej bidzie – niespodziewanie wtrąciła się do rozmowy Maryna i zarumieniła się, widząc zdziwione miny mężczyzn.

– My tam w pruskim wojsku nic nie wiemy, co u was się działo – podjął nowy temat Jan po dłuższym milczeniu. – Tam wszyscy rządzą ino po niemiecku, tej ich gazety nie dało się czytać, bo człek zmęczony po manewrach, to i listu nie miał sił napisać...

– Eee, jak byście mieli jakąś młódkę we wsi, to listy by pewnie były, co nie? – niby żartem zapytał Johan.

– To prawdę mówicie. Ale mnie młokosem zaciągnęli do wojska, to i czasu nie było wypatrzeć jakąś pannę. No, teraz wszystko przede mną – tłumaczył się młody Moczygamba. – Może i szukać daleko nie trzeba, jak tu widzę taką piękną waszą cerę. Maryś, prawda, dali ci na imiono? – tym razem już bezpośrednio zwrócił się Jan do Dziukówny.

Dziewczę splonęło się natychmiast i nie wiedziało, co odpowiedzieć. Z tej opresji wyratował ją ojciec.

– No my wszyscy ino Maryna mówimy i już. Po urzędowemu musi być Maria. Robotna ci ona, w chórze śpiewa, ale kawaliry, powiada, jej jeszcze nie w głowie.

– Jeszcze pewnie nie spotkała tego swojego? – wtrącił się Walenty, odwracając głowę. Widać przysłuchiwał się rozmowie Jana z Dziukami i włączył się nieproszony.

– Ty, Waluś, drogi ino pilnuj, byśmy nie zbłądzili – odciął się Jan.

Dalszą rozmowę przerwał padający deszcz. Zachmurzyło się i zanosło na dłuższe padanie.

– Mundek, zacinaj konie, bo całkiem zmokniemy, nim w domu się znajdziemy – nakazał synowi Johan.

Edmundowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pokrzykiwał i batem popędzał parę gniadoszy, że aż wóz znosiło po wyboistej drodze. W tym czasie Johan wygrzebał spod pakunków na wozie jakąś derkę i nakrył głowy Maryny i Jana. Pragnął choć tym sposobem uchronić ich przed zimnym deszczem. Oni zaś zaskoczeni niespodziewaną sytuacją siedzieli nieruchomo pod tym nakryciem. Jakiś czas wóz żwawo toczył się po pustym trakcie, aż w oddali ukazał się zarys kościelnej wieży.

– Już niedaleko. Widać płuźnicki kościół – informował radośnie Edmund.

Ale nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy siedzieli skuleni z zimą, oczekując rychłego końca podróży. Może tylko Jan z Maryną, nakryci końską derką, pragnęli, by ta podróż trwała jak najdłużej.